WTOREK
Nr 82 15 VII 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ESTRADA POD JABŁONIĄ

Fot. J. Łopuszyński

KLAN

... to tytuł zadania, które w szóstym tygodniu wakacji proponujemy wszystkim zastępom NAL. Zadanie to wcześniej wykonały zastępy „Koniczynek" i „Słoneczników" w Radzanowie. Odwiedził je nasz sprawozdawca, Juliusz Gostkowski. Zapoznajcie się z jego wrażeniami:

W radzanowskiej szkole są prawie sami harcerze. Dla nich skończyły się wprawdzie lekcje, ale nie zbiórki. Ci, którzy nigdzie nie wyjechali przychodzą na nie nawet z sąsiednich wsi, by nadal wspólnie spędzać czas. Opiekująca się zastępami „Koniczynek" i „Słoneczników" druhna Halina Filipska podsunęła im pomysł niejednej zabawy, ale zmusić ich przecież do niej nie mogła. Widocznie po prostu się lubią!

Relacje z ich spotkania nad Wkrą zamieszczamy na str. 3

Ukryty urok Wysokiej

Ile jest w Polsce takich szczepów jak ten? Nie wiem, ale podejrzewam, że niedużo. Bo który szczep dorobił się, i to podczas pierwszych pięciu lat swego istnienia, takiej bazy, jaką ma w Wysokiej Szczep im. F. Dzierżyńskiego ze SP 1 w Zielonej Górze? Harcerze ułożyli o Wysokiej kilka piosenek. Najpopularniejsza jest ta, której fragment chcę przytoczyć:

Leśny ostęp to nie tu
wielkiej wody nie ma też
mimo wszystko wrócisz tu
bardzo dobrze o tym wiesz.
Bo Wysoka urok swój
choć ukryty, ale ma
i pamiętaj bracie mój
czeka tu przygoda twa.

Na czym polega ten urok? Postanowiłam sprawdzić na miejscu. Gościnni gospodarze użyczyli mi lokum w obozowym Forum, czyli izolatce. I... zabrałam się do obserwacji.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Drużyna „Wesoła wiara" na zwiadzie w Wysokiej
Fot. J. Łopuszyński

„GAWĘDA" we Włoszech!

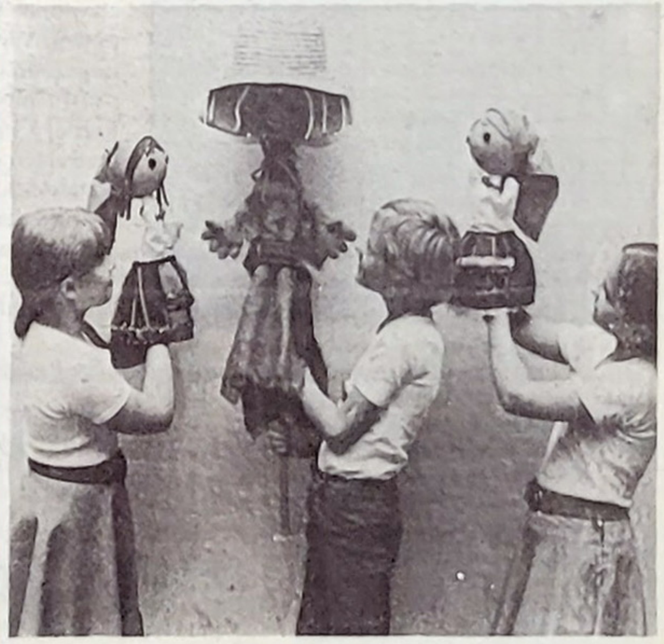

GAWĘDA

WARSZAWA (INF. WŁ.). Reprezentacyjny Zespół Artystyczny ZHP „Gawęda" w dniach od 4 do 15 lipca br. przebywał we Włoszech. Jest to już 38 wyjazd zagraniczny tego zespołu w ciągu 27 lat działalności. 75 osób z „Gawędy" zostało zaproszonych przez Towarzystwo Przyjaźni Włosko-Polskiej na występy. Wyjazd został poprzedzony wieloma przygotowaniami po to, aby publiczność włoska wychodziła z występów z uśmiechem. **(ach)**

CAF. Żelazowa Wola – pięknie położony pośród malowniczego parku dworek, w którym w 1810 r. urodził się Fryderyk Chopin. Obecnie mieści się tu dom – muzeum kompozytora. Pieczę nad muzeum sprawuje Towarzystwo im. Fryderyka Chopina. Każdego roku w porze letniej Żelazowa Wola zapełnia się zwiedzającymi oraz miłośnikami odbywających się tu niedzielnych koncertów.

(kl)

„Superbateria" dla auta przyszłości

USA (PAP). Silnik napędzany „superbaterią" zaprezentował w Nowym Jorku koncern Gulf and Western Industries Inc. Jak twierdzą fachowcy – wynalazek ten może być znaczącym krokiem na drodze do opracowania modelu oszczędnego samochodu elektrycznego. Samochód o niewielkim litrażu, z silnikiem zasilanym ową „superbaterią", przejechał w jeździe próbnej 320 km z szybkością 90 km na godz. bez konieczności wymiany lub doładowania baterii. (kż)

ZNÓW ZAKWITŁO NIEZWYKŁE DRZEWO

KONIN (PAP). Jak co roku przed zabytkowym pałacykiem, w którym mieści się Zbiorcza Szkoła Gminna w Grodźcu (woj. konińskie) zakwitło niezwykłe drzewo głogu. Górna połowa jego korony obsypana jest białym, a dolna czerwonym kwieciem.

(kż)

Na politycznej scenie

SALWADOR – nie ma spokoju w Ameryce Środkowej

3000 ofiar wojny domowej od początku bieżącego roku – 58 zabitych jednego tylko lipcowego dnia. Bilans rządów grupy wojskowych, którzy w październiku ubiegłego roku obalili równie krwawego generała Romero jest prawdopodobnie jeszcze bardziej przerażający. Oprócz tych zamordowanych, których ciała odnaleziono w Salwadorze zniknęła bez śladu grupa osób, której liczby nie da się nawet określić.

Aby wyjaśnić dokładniej przyczyny wzrastających represji wobec narodu salwadorskiego, należy cofnąć się do roku ubiegłego. Wtedy to właśnie w niedalekiej Nikaragui na drodze zbrojnej rewolucji zwyciężyły postępowe, demokratyczne siły, reprezentowane przez szeroki front ludowy. Przykład nikaraguański spowodował, że i w Salwadorze ruch partyzancki wzmógł się do tego stopnia, iż niemożliwe stało się pozostawanie u sterów rządu ówczesnego jego szefa, generała Romero. Zamach wojskowy, przeprowadzony przy poparciu amerykańskiej agencji wywiadowczej CIA ustawił na czele władz państwowych grupę oficerów. Okazali się oni jednak niezdolni do przeprowadzenia jakichkolwiek reform, sabotowanych dodatkowo przez kilka bogatych rodzin, kontrolujących niemal całą ziemię uprawną w tym kraju. Z aparatu państwowego nie usunięto osób wiernych poprzedniemu dyktatorowi. Po bardzo krótkim okresie nadziei na zmianę, sytuacja w kraju wróciła do dawnego stanu. Wojskowi nie potrafili przeciwstawić się działalności organizacji faszystowskich, specjalizujących się w uprowadzeniach i morderstwach. Co więcej Gwardia Narodowa – rodzaj zmilitaryzowanej policji – poczęła coraz bardziej zdecydowanie współdziałać z tymi grupami. Wszystkie demonstracje kończą się codziennie śmiercią kilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu osób. Gdy po zastrzeleniu arcybiskupa Romero (zbieżność nazwisk jest tu absolutnie przypadkowa) podczas odprawianej mszy kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców stolicy, San Salwadoru, uczestniczyło w pogrzebie, policja otworzyła do zgromadzonych ogień z broni automatycznej. I znów śmierć poniosło kilkadziesiąt osób...

W odpowiedzi na wzrastające wobec narodu represje rozproszony dotychczas ruch partyzancki postanowił stworzyć jednolity front. W styczniu bieżącego roku ugrupowania lewicowe – Ludowy Blok Rewolucyjny, Ligi Ludowe im. 28 lutego, Komunistyczna Partia Salwadoru i Front Zjednoczonej Akcji Ludowej – utworzyły krajowy komitet koordynacyjny. Od aktów rozpaczy i protestu, jakim było pokojowe okupowanie ambasad Francji, Panamy, Kostaryki, Wenezueli i Hiszpanii, postanowiono przejść do bezpośredniej konfrontacji zbrojnej. Na nie podlegających policyjnej kontroli terenach Salwadoru przeszkolenie wojskowe przeszło tysiące partyzantów. Zdecydowani na wszystko udowodnili w ostatnich tygodniach, że ruch ludowy nie tylko nie jest już bezbronny – dysponuje także siłą potrafiącą przeciwstawić się bezprawiu i gwałtom zadawanym narodowi przez siły dyktatury.

Salwador znajduje się praktycznie w ogniu wojny domowej. Trudno powiedzieć, kiedy się ona zakończy, ile jeszcze pochłonie ofiar. Pewne jest jedno – że w ostatecznym rachunku musi zakończyć się zwycięstwem mas ludowych. Taka jest bowiem historyczna prawidłowość. A od pewnego czasu także doświadczenia innych krajów Ameryki Środkowej. (mz)

Porozmawiajmy na obozach

CZY MUSIMY EKSPORTOWAĆ

Tego, że takie pytanie prędzej czy później zostanie postawione byliśmy więcej niż pewni. Wynikało to z naszych poprzednich doświadczeń – po prostu powtarzało się ono na każdej z naszych dotychczasowych Harcerskich Trybun Obywatelskich. A więc... I rzeczywiście gdzieś z tylnych rzędów podniósł się wysoki blondyn i wypalił... *„Wszędzie, w gazetach, w radio, w telewizji, ciągle aż do znudzenia we wszystkich przypadkach odmienia się słowo „eksport". Nic tylko eksport, eksport, trzeba to, trzeba tamto robić, by nasza sprzedaż za granicą rosła nieustannie.*

Czy rzeczywiście jest to aż tak konieczne? Przecież nieraz, i dla nikogo to nie jest chyba tajemnicą, że sprzedawanie odbywa się często, kosztem krajowych sklepów, trafia do nich mniej dobrych wyrobów, które każdy chętnie by kupił."

Wypowiedź podziałała jak kij włożony w mrowisko. Zakotłowało się, każdy miał coś do powiedzenia. Jedni dawali przykłady towarów, nieosiągalnych dla kupujących. Inni usiłowali tłumaczyć, mówili o konieczności zdobywania dewiz, o korzyściach eksportu, bo w zamian możemy kupować to co jest nam potrzebne: surowce, materiały, paliwa, technologie itp. Zatrzymajmy się na chwilę przy bilansie naszych potrzeb surowcowych. Polska należy wprawdzie do krajów zasobnych w bogactwa mineralne, niemniej jednak 20 proc. zużywanych przez nasz przemysł surowców pochodzi z importu. Co więcej, w niektórych ich rodzajach nieomal w całości zależymy od zakupów w innych państwach. Sprowadzamy prawie 100 procent ropy naftowej, ponad 90 proc. rudy żelaza, 100 procent bawełny, kauczuku naturalnego, cyny, boksytów, surowców dla produkcji tak ważnych dla rolnictwa nawozów azotowych, owoców cytrusowych, kakao, kawy, herbaty, 70 proc. wełny 30 proc. zbóż i pasz. Potrzebujemy więc niemało; z roku na rok coraz więcej. Rośnie nie tylko wielkość naszych zakupów za granicą. Rosną stale i bez przerwy ceny, jakie musimy płacić za potrzebne towary. Za np. 1 milion dolarów dostaniemy dziś znacznie mniej ropy, rudy żelaza, a także mniej podzespołów i elementów do produkcji różnych urządzeń przemysłowych niż – powiedzmy – przed rokiem, czy przed dwoma laty. Wydatki zaopatrzeniowe kładą się więc coraz większym ciężarem na nasz bilans płatniczy, zmuszają do systematycznego powiększania eksportu, by fabrykom dostarczyć potrzebne materiały, a sklepom zapewnić podstawowy wybór artykułów konsumpcyjnych.

No dobrze – powie ktoś – to zjawisko wzrostu cen jest doskonale znane, ale skoro my płacimy więcej, to i nam płacą więcej, przecież sprzedajemy za granicę także wiele surowców, wiele maszyn itp. Straty na zwyżce cen możemy odzyskać, podnosząc ceny na własne wyroby.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, nic dodać nic ująć do takiego rozumowania. A jednak. Poziom techniczny niektórych naszych wyrobów, ich jakość, terminy dostaw nie zawsze uzasadniają żądania wysokich cen. Zmiana tego stanu rzeczy w pierwszym rzędzie zależy więc od pracy przemysłu. Częste relacje cen, między tym co kupujemy, a tym co sprzedajemy nie są dla nas korzystne z przyczyn od nas niezależnych. Np. ceny paliw: na węgiel rosną wolno, bardzo wolno, nieporównywalnie do galopującego wzrostu cen ropy. Oczywiście łatwo znaleźć przykłady dowodzące, że i nasze towary są sprzedawane za sumy wyższe niż poprzednio – ogólnie jednak relacje, o których mowa, układają się dla naszej gospodarki niezbyt korzystnie.

Ma to bardzo poważne konsekwencje. Otóż jak wiemy założeniem polityki gospodarczej w latach siedemdziesiątych była szybka modernizacja i rozbudowa naszego przemysłu; wprowadzenie do fabryk nowoczesnej technologii, zakup licencji na produkcję wyrobów do tej pory w kraju nie wytwarzanych. Częściowo sfinansowano to dzięki kredytom zaciągniętym w bankach wielu krajów kapitalistycznych. Temu zawdzięczamy m. in. przyśpieszenie rozwoju kraju. Przypuszczaliśmy, że nasze zakłady szybko opanują i rozwiną nową produkcję, zaspokoją zapotrzebowanie w kraju i dużą część wyrobów będą mogły eksportować. Po pierwsze – nastąpiła, o czym już wspomniałem, zwyżka cen surowców i materiałów, co bardzo utrudniło i utrudnia nadal należyte zaopatrzenie fabryk. A zatem nie wszystkie z nich mogą pracować pełną parą lub korzystają z zastępczych surowców. Towarów które można sprzedawać za granicą nie ma więc w takiej ilości, jak się spodziewano. Po wtóre – wiele krajów kapitalistycznych znalazło się w tym okresie w poważnych trudnościach gospodarczych, co spowodowało, że niechętnie otwierają one swoje rynki dla produkcji zagranicznej m. in. z Polski. Taką politykę określaną jako „protekcjonizm" prowadzi się m. in. ustalając wysokie opłaty za wywóz towarów lub ściśle ustalając ilość towarów, którą danemu państwu wolno sprzedać w kraju stosującym ochronę swojego rynku.

Zbyt łatwe byłoby to jednak tłumaczenie, w którym winą za nasze kłopoty w handlu zagranicznym obarczalibyśmy wszystkich tylko nie siebie. Nie ustrzeżono się bowiem szeregu błędów. Niektóre kredyty zostały wykorzystane w sposób, odbiegający od prawidłowego. Niekiedy – nie biorąc pod uwagę ani np. możliwości sprzedaży w innych krajach, ani kosztów sprowadzenia nie wytwarzanych w Polsce elementów – decydowano się na zakup licencji. Zdarzało się, że instalowaliśmy maszyny nie dające produktu o najwyższej jakości, lub mające mniejszą niż zakładano wydajność. Małą wagę przywiązywano do oszczędnego zużywania surowców i materiałów. Ceny ich stawały się coraz wyższe, a w naszych zakładach przemysłowych, biurach konstrukcyjnych beztrosko projektowano i produkowano urządzenia, nie dbając o to, by bez uszczerbku dla ich walorów były one coraz lżejsze, wymagające zużycia mniejszych ilości materiałów. Jest to jeden z głównych powodów, dla których sumy, jakie dostawaliśmy ze sprzedaży np. obrabiarek były niższe od tych, jakie płacimy sprowadzając z krajów wysoko rozwiniętych podobne maszyny. Ponadto, na placach budowy wielu fabryk prace przeciągały się, lub natrafiano w niektórych zakładach jeszcze do dziś na nie pokonane trudności w opanowaniu nowej techniki i technologii. Skutkiem tego efekt, jaki miał przynieść naszej gospodarce zastrzyk nowoczesności nie wszędzie był taki jak planowano. Do państwowej kasy wpływa mniej dewiz.

Aby wytworzyć w miarę pełny obraz dodajmy jeszcze trudności, jakie spowodowały w rolnictwie kolejne lata nieurodzajów. Konsekwencją tego jest niedobór pasz, który nie chcąc ograniczać hodowli zwierząt, trzeba było uzupełnić, kupując zboże i inne pasze za granicą. I znów trzeba za to płacić w dewizach, lub zaciągać kredyty.

Taka, naszkicowana tu tylko w najbardziej ogólnym zarysie sytuacja wpłynęła niekorzystnie na stan naszego bilansu płatniczego. Obecnie pierwszoplanowym zadaniem gospodarczym jest jak największe zwiększenie eksportu, wykorzystanie wszystkich możliwości sprzedaży na świecie towarów z napisem „Made in Poland".

Chodzi przecież o to, aby dochody, jakie przynosi nasz handel zagraniczny wystarczyły nie tylko na spłatę kredytów i bieżące zaopatrzenie gospodarki. Zależy nam na stałym zwiększaniu siły ekonomicznej kraju, rozbudowie i unowocześnianiu wielu gałęzi przemysłu, poprawie warunków życia ludzi. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych zadanie to będzie realizowane. Właśnie systematycznie rosnący eksport, jego opłacalność, może pomóc w przezwyciężeniu szeregu kłopotów.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. archiwum

Wypoczynek w cieniu automatów

Marek pojechał na kolonie zaopatrzony przez rodziców w „skromną" kwotę przeznaczoną na „drobne" wydatki. Nie minął jeszcze tydzień od jego wyjazdu, gdy do drzwi rodzinnego domu zastukał listonosz z ekspresem. Mimo najgorszych przeczuć rodziców pismo, które otrzymali było klasycznym przykładem listu kolonisty do domu. A więc: czuje się dobrze, koledzy fajni, pogoda różna... i „bardzo bym was prosił, żebyście przysłali mi 200 zł., bo te pieniądze, które przywiozłem z domu – już wydałem!"

Rodzice uspokojeni tym, że nic złego nie przytrafiło się Markowi, długo nie zastanawiali się, na co poszła w ciągu tygodnia kwota 400 złotych polskich, które syn zabrał z sobą. Przypuszczali, że wydał je na owoce, które bardzo lubi, a są jeszcze stosunkowo drogie. Następnego dnia tato udał się na pobliską pocztę i wysłał 200 zł przekazem telegraficznym (żeby było szybciej).

Jednak myliłby się Czytelnik myśląc, że to już koniec finansowych kłopotów Marka. Po przeszło dwóch tygodniach przyszedł kolejny list. Treść była identyczna, tylko suma zmniejszona o 50 zł.

Po co Markowi tyle forsy na niecałe trzy tygodnie kolonii? Odpowiedź jest prosta. Otóż Marek przebywał w jednej z nadmorskich miejscowości i wypoczywał tam w cieniu... automatów do gry.

Tę małą osadę, pełną domów wczasowych, kolonii, obozów, zastawiono po prostu automatami do gry. Na każdym kroku, czy to w kawiarni, lodziarni, smażalni ryb, prywatnych domach lub w specjalnie do tego celu przystosowanych budach i barakach można oddawać się rozkoszom zmagań z automatami.

Za jedyne pięć złotych polskich można brać udział w grze, która niewinnie nazywa się „samoloty". Ale ta „niewinność" kończy się z chwilą uruchomienia tej maszynerii. Za jej pomocą zrzuca się... bomby na domostwa i ogląda jednocześnie efekty swej niszczycielskiej roboty. Za te same i jedne pięć złotych można też postrzelać do ruchomych celów na ziemi lub samolotów wroga. Przy innym celuje się do Indian lub kowbojów. Co się komu bardziej podoba.

Sąsiedni automat za tę samą cenę zrobi z każdego – czołgistę. Można sobie dowoli postrzelać pociskami przeciwpancernymi do czołgów, a także budynków mieszkalnych. Trzeba tylko uważać, żeby nie wjechać na pole minowe, bo wtedy z czołgu robi się konserwa.

Można też robić inne rzeczy. Na przykład zderzać się z pędzącymi samochodami. Takie karambole to wspaniała rzecz. A ile przy tym emocji! Kto nie lubi ofiar wśród ludzi może sobie postrzelać do dzikich kaczek, które trafione wydają prawdziwy okrzyk trwogi. Ale do tego automatu mało jest chętnych, tak jak i do bilardu. Dlaczego?

Otóż grając w bilard i uzyskując np. 50 tys. punktów powinno się dostać nagrodę w postaci przedłużenia czasu gry. Jest to nawet fabrycznie wypisane na automatach. Właściciele „interesów" szybko pozaklejali zwykłym papierem te 50 tys. i koślawo wpisali 90 lub 100 tys. pkt., co praktycznie wyklucza uzyskanie nagrody.

Automaty do głupich gier zawojowały większością naszych wczasowych miejscowości. Ich prywatni właściciele prześcigają się w dostarczaniu swym klientom ciągle nowych, niezdrowych atrakcji. I opłaca im się to. Ich budy, baraczki itp. zawsze pełne są bezmyślnych graczy, którzy wyraźnie nie zastanawiają się nad tym co robią.

Kto zezwala na sprowadzanie i eksploatowanie takich maszyn? Czy żądza zysku grupy spryciarzy jest silniejsza od zdrowego rozsądku ludzi, którym te sprawy nie powinny być obojętne. Na rozsądną decyzję tych ostatnich czekają zastępy młodych ludzi, którzy zamiast wdychać jod na nadmorskiej plaży wypoczywają... w cieniu automatów.

KRZYSZTOF ŻAK

ESTRADA POD JABŁONIĄ

KLAN

Żal było opuszczać Radzanów

– Mój ojciec Mieszko Poniatowski... – zaczęła swą opowieść Ania, której życiorys zadziwić mógłby najwybitniejszych znawców naszej historii. Oczywiście gdyby był prawdziwy! Tego jednak wymagać nie mogliśmy – w Turnieju Łgarzy nie zwyciężają wszak prawdomówni. Było za to co niemiara śmiechu, a ponieważ jego ilość zadecydować miała, kto wygra – ostatecznie wszystkim uczestnikom turnieju przyznano równorzędne pierwsze nagrody. Jak zaczęliśmy chichotać na początku, tak tarzaliśmy się ze śmiechu po trawie już do końca pojedynku, który był jedną z atrakcji spotkania nad brzegiem Wkry.

Zaprosili nas na nie harcerze z Gminnej Szkoły Zbiorczej w Radzanowie w woj. ciechanowskim, którzy nie czekając aż wyjadą na obóz, zaczęli wakacje bawiąc się „na własnych śmieciach". To ostatnie określenie nie jest zresztą najlepsze. W ramach trwających właśnie przez cały tydzień III Dni Radzanowa przewidziano bowiem i dzień czynu społecznego, który wykorzystano m. in. do wysprzątania okolicy. Nie o Dniach Radzanowa, których zazdrościć może niejedna gmina, chcę jednak pisać – lecz o harcerskiej „Estradzie pod jabłonią", której urządzenie i Wam polecam.

Estrady tej nie trzeba wcale zbijać z desek. Wystarczy wybrać ładną, suchą łąkę i drzewo, w którego cieniu posadzicie widzów. Niekoniecznie jabłoń – w Radzanowie udekorowano po prostu namalowanymi na kartonie jabłkami olchę. Mając łąkę, tytułową jabłoń i publiczność – którą zachęcić do przyjścia można zarówno osobiście, jak i rozwieszonymi wszędzie kolorowymi plakatami – trzeba już tylko przygotować dla niej wspaniały program artystyczny.

Ustalacie więc, kto jest talentem w jakiej dziedzinie, odkrywając przy okazji kilka zupełnie nowych – i nie zapominając, iż głównym celem jest jednak zabawa, zabieracie się do ciężkiej pracy. Wierszokleci łamią sobie głowy nad rymami, tancerze – nogi, recytatorzy pocą się, ucząc na pamięć wierszy i całych scenek, muzycy ćwiczą palce, które kłują sobie igłą szyjący kostiumy, a plamią farbami dekoratorzy. Wszyscy zaś zdzierają gardła, próbując nauczyć się wspólnie choć kilku nowych piosenek. Potem wystarczy ustalić kolejność występów, obmyślić kilka konkursów dla spragnionych nagród widzów (niestety i o nagrody trzeba się postarać) – i to już wszystko! Macie „z głowy" tydzień wakacji. Nie martwcie się jednak! Po pierwsze nie nudziliście się, po drugie jeszcze bardziej zaprzyjaźniliście, a po trzecie Wasz trud wynagrodzą Wam na pewno słuchacze, których pełne podziwu twarze, spontaniczne okrzyki i oklaski długo będą się Wam śnić po nocach.

Nad Wkrą entuzjazm taki wzbudziły grające na cymbałkach i instrumentach perkusyjnych zuchy oraz harcerze, którzy z wakacyjną swobodą kpili ze szkoły w teatrzyku o pełnej poezji nazwie „Ośla ławka". Wszystko zaś urozmaicały piosenki i pląsy – choć tu może za rzadko zachęcano do wspólnej zabawy publiczność, która wszak też potańczyć i pośpiewać lubi! Błąd naprawiono dopiero ogłaszając powszechny konkurs na portret swego sąsiada, co dla mnie na szczęście nie skończyło się tak źle jak dla innych, ponieważ mój sąsiad zajęty był robieniem zdjęć, które widzicie obok. Okazją do wspólnej zabawy była też zgaduj-zgadula, która polegała na odgadywaniu przez nas przysłów odgrywanych pantomimicznie, czyli bez słów, przez rozochoconych artystów. Skakali jak kózki, kopali dołki, uderzali w stół, nosili dzban – póki się ucho nie urwało, a baba nie spadła z wozu.

W trosce zaś o to, byśmy nie tylko mogli się pośmiać, ale i zadumać, zaprosili harcerze na swą estradę również miejscowego kolekcjonera i znawcę historii Ziemi Zawkrzańskiej – pana Andrzeja Zdunkiewicza, którego ilustrowana bogato opowieść przekonała nas, że najbardziej kocha się swoje rodzinne strony.

Potem jeszcze przedstawiciele miejscowych zakładów pracy wręczyli harcerzom ufundowane upominki: sprzęt turystyczny, który przyda się w dalszej części wakacji. A gdy zaszło słońce, rozpalono ogniska i na przygotowane wcześniej patyki nadziano kiełbaski. Nim je zjedzono, dziewczęta puszczały na Wkrę wianki z płonącymi świeczkami, a pani Maria Wółkiewicz przypomniała w pełnej poezji gawędzie, jak to niegdyś noc świętojańską spędzano. My, niestety, musieliśmy wracać do Warszawy i wierzcie nam, że żal było opuszczać zbratanych przy ogniu mieszkańców Radzanowa, pobliskiego Zgliczyna, Gradzanowa i Józefowa...

JULIUSZ GOSTKOWSKI
Fot. J. Łopuszyński

REDAKCYJNA POCZTA

Samotność

Nazywam się Agata, mam 16 lat. Jestem bardzo samotna i poszukuję prawdziwej przyjaciółki w moim wieku lub powyżej 16 lat. Moja sytuacja jest nie do zniesienia. Czyżbym już była takim pechowcem? Znam wiele dziewczyn i chłopaków w moim wieku, a mimo to zawsze jestem sama. Są dla mnie bez serca i już ich prawie znienawidziłam. Dotyczy to nie poszczególnych osób, ale dosłownie wszystkich. Oni tworzą jakieś grupy czy tzw. paczki, a ja jestem zawsze odtrącana, zawsze na uboczu. Nie sądzę, bym była aż tak straszna i nie dała się lubić. Znam przecież siebie doskonale, swój charakter i swoje możliwości. Wiem, że dla miłych potrafię być miła. Ja dłużej nie mogę tego znieść. Postanowiłam się do nikogo z nich nie odzywać. W domu zalewam się łzami. Rzadkie są dni, kiedy nie płaczę. Popadam w coraz większą depresję, unikam ludzi, staram się do nich w ogóle nie odzywać. Często zadaję sobie pytanie: „Jak długo ma to tak trwać?" Może któraś z Was, koleżanki, do mnie napisze? Chciałabym, by mój los się odmienił, bym nauczyła się w końcu cieszyć z życia i bym mogła znaleźć swe upragnione szczęście.

Czekam na listy – piszcie do mnie! Oto mój adres:

Agata Salach
ul. Długa 32/34 m. 46
00-238 Warszawa

Małgorzata Podedworska, 31-609 Kraków – Nowa Huta, os. Tysiąclecia 30/46 ma 16 lat. Interesuje się językiem rosyjskim, zbiera widokówki ze zwierzętami i znaczki pocztowe. Chciałaby korespondować z koleżankami i kolegami w swoim wieku.

Czy wszystko zależy od wysokich?

Mam 14 lat i jestem najmniejszy wśród rówieśników. Wszyscy traktują mnie jak dziecko, choćby na przykład ostatnio w dyskotece. Gdy podszedłem do koleżanki z klasy i zapytałem czy mogę z nią zatańczyć, odpowiedziała: „Jak będziemy wyglądać?" Po tym zdarzeniu jestem w rozpaczy. Proszę Cię, Redakcjo, o wydrukowanie mego listu. Czy wszyscy najniżsi tak są traktowani?

Muchor

Jeśli kochasz, to powiedz

Mam 15 lat. Kilka miesięcy temu poznałam chłopca. Przywiązałam się do niego i bardzo go pokochałam. Do niego zawsze mogę się zwrócić ze swoimi radościami i kłopotami. Jesteśmy ze sobą długo i bardzo blisko. Jednak nigdy nie usłyszałam od Tadeusza, że mnie kocha. Po długich rozmowach o nas i po jego zachowaniu dochodzę do wniosku, że wstydzi się mi to powiedzieć. A może mnie nie kocha? Nie wytrzymuję dłużej tej niepewności. Czy jest jakiś sposób na wyznanie tego?

Zrozpaczona Staśka „Niunia"

OD REDAKCJI: Jesteśmy przekonani, że znacznie trudniej jest wyznawać miłość bliskiej osobie swoją postawą niż słowami. Słowo „kocham" jest jednym z najpiękniejszych słów, jakie znają ludzie, ale jakże często nadużywane i wypowiadane bez pokrycia. Bądź cierpliwa; jeśli Tadeusz powie Ci to wreszcie, to możesz być pewna, że jego wyznanie będzie miało znacznie większą wartość niż wyznanie chłopca, który to mówi zbyt często.

W blasku olimpijskiego znicza

XX – MONACHIUM

26 VIII–11 IX 1972. 7863 zawodników ze 121 krajów. 22 dyscypliny sportowe. Polacy zdobyli 21 medali, w tym 7 złotych.

Republika Federalna Niemiec potraktowała te igrzyska niezwykle prestiżowo. W szybkim tempie wzniesiono supernowoczesny kompleks obiektów sportowych, których architektura przypominała raczej księżycowy krajobraz. Do tego wszystkiego dostosowali się także sportowcy, udowadniając, że w ludzkich możliwościach barier jeszcze nie ma. Najbardziej zdumieli pływacy (23 rekordy świata), a Amerykanin Mark Spitz dokonał nadzwyczajnej sztuki: zdobył 7 złotych medali. Prawdę powiedziawszy, to monachijskie igrzyska stały pod znakiem ataków reprezentantów mało dotąd znanych w sporcie krajów, a zwłaszcza państw czarnego lądu: Ugandy, Tunezji, Kenii. W konkurencjach kobiecych najlepiej spisały się zawodniczki NRD – 6 złotych medali, a Renata Stecher okazała się najlepszą sprinterką (100 i 200 m), podobnie zresztą jak Walery Borzow (ZSRR). Niemal w każdej dyscyplinie dochodziło do niespodzianek; w boksie na pierwszy plan wyszli pięściarze Kuby, w podnoszeniu ciężarów – Bułgarzy, w piłce nożnej – Polacy, którzy tym samym rozpoczęli swój późniejszy zwycięski marsz po stadionach świata.

Na wysokim poziomie sportowym przebiegły XX IO. Tym bardziej cieszą sukcesy Polaków. O pierwszy złoty medal postarał się Zygmunt Smalcerz. Równie dobrze spisali się floreciści. Najpierw Witold Woyda triumfował w turnieju indywidualnym, a następnie razem z drużyną zwyciężył w zespołowym. Józef Zapędzki wystrzelał „złoto" już po raz drugi. W ślady byłych mistrzów wagi lekkiej poszedł bokser, Jan Szczepański. Wiecznie nękany kontuzjami, po długiej przerwie spowodowanej werdyktem lekarskim zakazującym startów (niewydolność serca), wreszcie dopiął swego. Zabłysnął również kulomiot Władysław Komar. Pokonał rywali już w pierwszym pchnięciu finałowym (21,18 m). Ogółem medale zdobyliśmy w 11 dyscyplinach, zaś punkty w 13.

Dodajmy, że te piękne igrzyska zostały zakłócone strzałami terrorystów, którzy wtargnęli do bloku ekipy Izraelczyków. Nic więc dziwnego, że nad kolejnymi IO pojawił się cień licznej eskorty policji i wojska. Ale o tym już w następnym, ostatnim, odcinku naszej serii.

Olympische Spiele München 1972

Kupon 20

KLUB ZIELONEGO P.

PIERWSZA STRASZLIWA PORCJA

...a w drodze są już dalsze!

W pierwszych słowach dzisiejszego spotkania zapytuję Was: czym Wy kleicie nadsyłane do mnie listy?! Nie, to nie jest pomyłka, wyraźnie chodzi mi o LISTY, a nie o KOPERTY. Panuje teraz chyba jakaś zaraza klejowa, bo każdy prawie list, który otrzymuję, jest zalepiony tak dokumentnie, tak zamknięty jak jakaś kasa pancerna, której zwariowany właściciel dla większego bezpieczeństwa kazał zespawać drzwi na amen. A chcąc się dostać do środka musi za każdym razem użyć miny przeciwczołgowej...

Tak i Wasze listy. Ogromna ich ilość jest na mur-beton zlepiona z kopertami, ponieważ moi korespondenci nie mając zbytniego zaufania do państwowego kleju kopertowego mażą wszystko klejami prywatnymi. Żeby taki list otworzyć trzeba kopertę rozszarpać na strzępki i to bardzo delikatnie, żeby nie uszkodzić adresu zwrotnego, a szczególnie samego listu, który z tymi strzępkami stanowi nierozerwalną całość, a zawiera być może rewelację, która mnie rzuci na kolana.

No więc, kurczę blade, uprasza się nie paćkać!

A teraz – do rzeczy! Wasze korespondencje pełne są przewspaniałych bredni – bo o to mi chodziło! – ale że w tym szaleństwie musimy zachować pewien porządek czyli hierarchię zwariowania – ustalam więc co następuje:

LITERY ZIELONE przydzielam za najbardziej szalony pomysł każdego spotkania (albo za dwa lub trzy, jeśli dobrze pójdzie.)

LITERY CZARNE otrzymują autorzy pomysłów średnio zwariowanych.

Przy nazwiskach, bądź pseudonimach laureatów będę zamieszczał miejscowość, co powinno wyeliminować pomyłki.

NATOMIAST pomysły stuknięte w normie (dla NAS to jest norma, ale nieprzyzwyczajonego może z nóg zwalić!) – będziemy sobie drukowali bez nagradzania – podpisując je wyłącznie imieniem bądź pseudonimem nadawcy.

DZIŚ WCHODZIMY W ŚWIAT URZĄDZEŃ O KTÓRYCH DOROSŁYM FACHOWCOM NAWET SIĘ NIE ŚNI...

– *„Drogi Zielony!*

Po przeczytaniu Twojego hasła: NIECH ŻYJE DZIAŁALNOŚĆ BEZ SENSU" od ręki wymyśliłem maszynkę do filtrogniodestylacji cukru.

W pierwszej beczce znajduje się roztwór cukru kuchennego w wodzie z kranu. Z tej strony wydala się para, z tamtej cukier. W następnej beczce zachodzi niezwykle skomplikowany proces, kontynuujący proces zachodzący w beczce pierwszej.

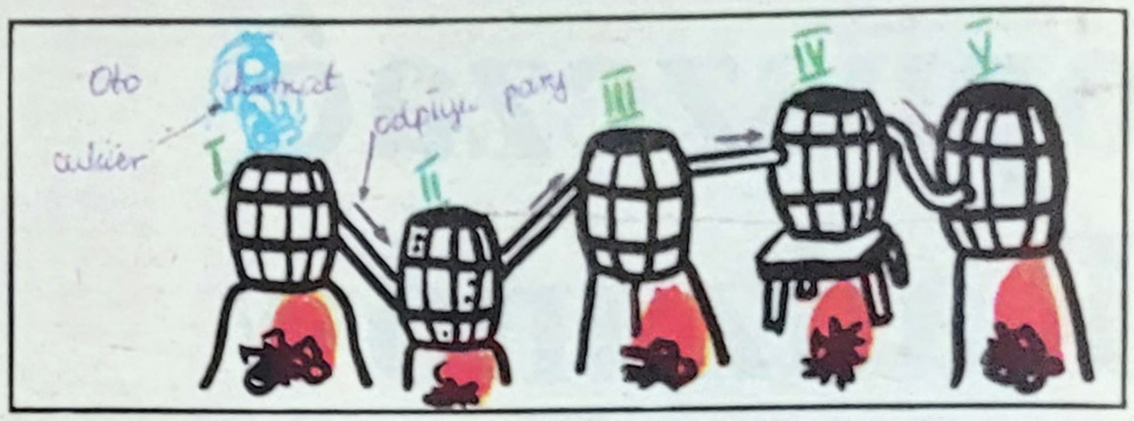

W beczce trzeciej obserwujemy równie skomplikowany proces, który podobny jest do zachodzącego w beczce drugiej, który odtwarza proces zachodzący w beczce pierwszej. W beczce czwartej następuje kontynuowanie procesu zachodzącego w beczce trzeciej, który podobny jest do procesu z beczki drugiej, który kontynuuje proces z beczki pierwszej. W beczce piątej otrzymujemy czystą parę wodną, ponieważ cukier w tym czasie gdzieś się ulotnił. Parę wodną skraplamy (chuchając), a otrzymaną wodę wlewamy do beczki pierwszej. W tym czasie asystent wyłapuje na patyk cukier z powietrza i powstałą tym sposobem watę zjada.

I otwieramy następny worek cukru...

Agnieszka Żebracka, Tarnów

„Oczywiście litery ZIELONE! Przypominam: należy ułożyć z nich napis, np. na koszulce gimnastycznej, a potem zaprasować je żelazkiem (gorącym – rzecz jasna!)

„Cały dzień myślałem i wymyśliłem!

Urządzenie – dzięki któremu będzie można używać kąpieli w ubraniu – składa się praktycznie tylko ze zbiornika i dwóch nawiewów. Górą wlewamy mokrą wodę, w środku dmuchawy (mogą być ze starego odkurzacza) zdmuchując z niej wilgoć, i dołem sucha już woda wylewa się np. do wanny lub basenu kąpielowego.

Pozdrawiamy Cię, Purchlu!"

Zbigniew Różycki, Ostrowiec Świętokrzyski

Genialność tego projektu polega na jego prostocie. Przecież każdy ma w domu dmuchawę i beczkę po kapuście. Oczywiście, ZIELONE!

Marcin Jarliński z Gdyni proponuje radykalne lekarstwo na nędzę spotkań piłkarskich naszych drużyn. Otóż należy grać na kwadratowym boisku, z tym, że równocześnie trwa mecz czterech drużyn, gra czterdziestu czterech zawodników, są cztery bramki i dwie piłki – różnego koloru, żeby się nie pomyliły graczom.

Myślę, że gdyby TV przeprowadziła transmisję z takiego meczu, używając do tego celu helikoptera unoszącego się nad środkiem boiska, a sprawozdawca sprawozdawałby biegając między bramkami na szczudłach – emocji by nie brakowało. CZARNE przydzielam!

Takie same CZARNE litery otrzymują: **Bogdan Brzozowski z Kudowy** za pomysł kopania dołów i wkładania do nich przedmiotów nikomu niepotrzebnych, takich jak: lodówki, telewizory, konserwowana marchewka, fortepiany, maszynki do mięsa itp. A to wyłącznie po to, by za 10 tysięcy lat archeolodzy mogli to odkopać i zrobić z tego sensację.

Krzysztof Wysocki, przewodniczący Klubu Purchla w Płośnicy za projekt maszyny do robienia ziarenek kawy z kawy zmielonej.

W zakończeniu listu Krzysztof pisze: *„Maszyna moja może się przydać jeszcze do zajmowania miejsca w dużych pokojach gdzie nie ma żadnych mebli. Prezentuje się nieźle".*

I tym optymistycznym akcentem kończąc, żegnam Was i do następnego spotkania!

Uczymy się pływać (5)

Kraul na piersiach

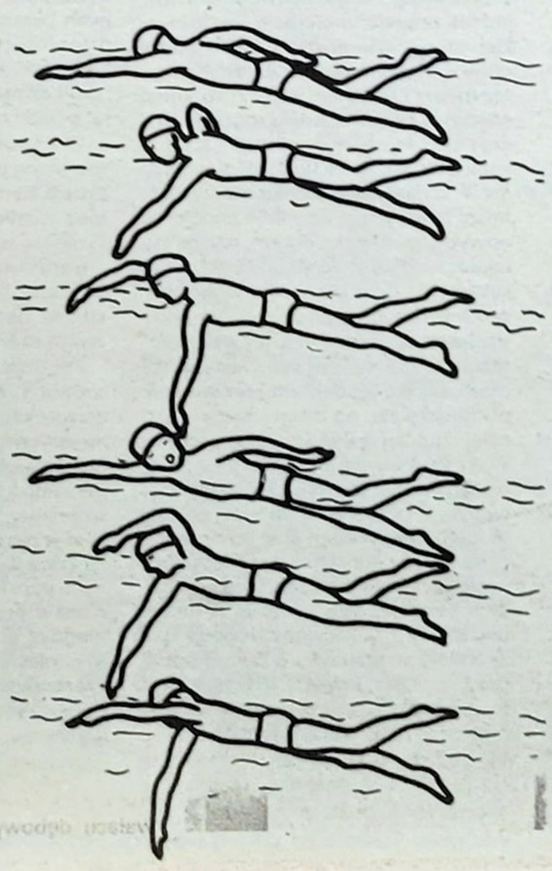

Podobnie jak pływanie żabką, jest to również klasyczny styl pływania wymagający sporo czasu na opanowanie techniki i koordynację ruchów. Z tego względu proponuję naukę jednego z tych dwóch sposobów pływania – żabką lub kraulem, a już w żadnym razie nie uczcie się ich równocześnie.

Pozycją wyjściową do pływania kraulem na piersiach jest: leżenie swobodne na wodzie w pozycji poziomej, głowa zanurzona powyżej linii brwi, nogi złączone i swobodnie wyprostowane pod powierzchnią wody, ramiona wyciągnięte do przodu pod wodą stykają się palcami wskazującymi.

Ruchy ramion. Ramiona wykonują ruchy bez przerwy. Gdy jedno ramię wykonuje ruch wiosłowy w wodzie, drugie przygotowuje się do wiosłowania. Przed wydobyciem z wody ramienia wykonującego ruch wiosłowy ciało należy obrócić o 30° w stosunku do płaszczyzny pionowej, w kierunku przeciwnym niż wydobycie ramienia. W momencie rotacji ciała ramię wynurza się z wody: najpierw bark, potem łokieć, przedramię i dłoń. Po wynurzeniu przenosi się je szybko do przodu i zanurza w wodzie nad głową, palcami dłoni lekko ugiętej w dół w nadgarstku, nie przekraczając osi podłużnej ciała. Ramię pod wodą prostuje się i wykonuje wiosłowanie, które trwa do przekroczenia w wodzie linii barków. Kończąc pociągnięcie – stopniowo ugina się w łokciu do wynurzenia z wody.

Ruchy nóg. Nogi na zmianę wykonują ruchy z góry w dół i odwrotnie, zachowując pionową rozwartość między piętami w granicach 25–40 cm. Nogi mijają się blisko siebie, palce stóp rozluźnione, nieznacznie skierowane do środka. W czasie ruchu z dołu do góry, noga w pierwszej fazie ruchu jest wyprostowana, a w ostatniej lekko ugina się w kolanie podrzucając wodę w górę spodem stopy. Ruchy nóg powinny być znacznie szybsze niż ramion. Podstawową pracę napędową wykonują ramiona, a nogi spełniają głównie rolę stabilizującą.

Oddychanie. Dla wykonania wdechu głowę skręca się w bok w lewo i w prawo, w momencie, gdy łokieć od strony wykonywanego wdechu wynurza się z wody. Wykonanie wdechu odbywa się w bruździe powstałej za wytworzoną przez głowę falą czołową. Po wykonaniu wdechu skręcić głowę, zanurzyć twarz i wykonać powoli wydech powietrza przez usta i nos do wody. Wydech zakończyć nad wodą przy ponownym obrocie głowy dla dokonania wdechu.

W następnym odcinku – nauka pływania kraulem na grzbiecie.

Szef KS „Olimpijczyk"

OSIEDLOWA SZARAŃCZA

Osiedle mieszkaniowe „Rakowiec" w Warszawie zostało wybudowane na terenie, którym przez dłuższy czas władali kolejarze. Mieli tutaj swoje działki pracownicze, z drzewami, krzewami, kwiatami, owocami, warzywami itp. Wszystkie te roślinki najszlachetniejszych gatunków były całymi latami pieczołowicie pielęgnowane. Ale to było bardzo dawno temu.

Dzisiaj na osiedlu „Rakowiec" rosną drzewa owocowe (bo tylko te zostały), które co roku na wiosnę zielenią się, w maju kwitną, ale nikt nigdy nie zobaczy na nich dojrzałych owoców. Dla tych, którzy trafią przypadkiem na osiedle, jest to dziwne i tajemnicze, ale dla stałego mieszkańca tego dużego zespołu mieszkalnego sprawa jest prosta jak przysłowiowy drut.

Otóż kiedy z drzew opadnie ostatnie kwiecie i zaczną się zawiązywać owoce, rusza na nie... osiedlowa szarańcza. Młodzi osobnicy z małpią wprawą i zwinnością wdrapują się na najwyższe gałęzie drzew po to, żeby zerwać zielone owoce. Spróbować jak smakują. Czy przypadkiem nie nadają się już do jedzenia. Kiedy okazuje się, że ich kwas wykrzywia twarz, szarańcza wpada w istny szał i niszczy wszystko, co rośnie na drzewie. I tak już na samym początku lata większość drzew owocowych na osiedlu „Rakowiec" straszy obłamanymi kikutami gałęzi i zupełnym brakiem owoców.

Czytelnicy mogą w tym momencie zapytać: a co na to dorośli, władze osiedla? Lepiej o tym nie mówić, a raczej pisać. Administratorzy osiedla wychodzą prawdopodobnie z założenia, że drzewa są co prawda owocowe, ale niczyje. Więc nikt się nimi zbytnio nie interesuje. A dorośli mieszkańcy „Rakowca"? Jeżeli wcześniej pisałem o młodej szarańczy, to teraz wypadałoby napisać o... starszych osobnikach „chodzących" po drzewach.

Jest to śmieszne i smutne zarazem, ale prawdziwe.

I w ten właśnie sposób niektóre, na pozór zdrowe i okazałe, drzewa owocowe w naszym kraju rosną, zielenią się, kwitną, ale nigdy nie owocują. A mogłyby. Przecież ciągle mamy niedosyt dobrych jabłek, gruszek, śliwek i czereśni. Można by je było przecież zbierać, ale niechby chociaż trochę dojrzały. Władze „Rakowca", i nie tylko tego osiedla, powinny zacząć energicznie działać. Nie ma czasu do stracenia, bo przy takim postępowaniu za rok, najdalej dwa, drzewa będą umierały stojąc. Czy na osiedlową szarańczę nie ma żadnego lekarstwa?

KRZYSZTOF ŻAK

LATO Z WIERSZEM

Po horyzont chciałabym napełnić świat Tobą.
Z każdym dniem budzić się bez łez na poduszce.
Ale usta milczą, a miłość
ciepłą żywicą wlewa się w życie.
I nikt mnie nie chce kochać – nawet samotność.

Małgorzata z Ustki
– laureatka V Turnieju Poetyckiego „NIEBIESKA TARKA"

Tu właśnie, w budynku starej szkoły, mają swój drugi dom

Ukryty urok Wysokiej

ANNA PACIOREK

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Był czwarty dzień obozu. Chyba tylko druh komendant pamiętał w którym z dwunastu w koło rozbitych namiotów raczą przebywać wielmożne „Hrabianki", czają się „Jaskiniowcy" czy planują wędrówkę „Włóczykije".

Godz. 7^{00}. Ptaki koncertują już od kilku godzin, przy bramie czuwa warta, a obóz jak wymarły, śpi w najlepsze. Nie, nie wszyscy. Oto „Koczowniczki" biegną w stronę kuchni. Wiadomo – zastęp służbowy. I znów spokój.

– Pobudka!!! Instruktor służbowy nie ma łatwego zadania. Nawołuje do wstawania przed każdym namiotem.

Ale oto już „Dzięcielinki" zrywają się do gimnastyki, za nimi bezszelestnie pomknęły w las „Szejenki". Jeszcze małe pół godzinki i... prawie wszyscy są gotowi do śniadania. Po nim apel. I rozkaz komendanta:

– Wszystkie zastępy przeprowadzą dziś zwiad „Komu potrzebna jest nasza pomoc". Każdy wybierze się do innej z okolicznych miejscowości. Trzeba odwiedzić sołtysa, gajowego czy leśniczego, ustalić komu i kiedy będziemy mogli pomóc.

Wybieram się z zastępem „Hrabianek" do Bogaczowa. Przed nami 8 kilometrów. Ale „Hrabianki" są nadzwyczaj rozśpiewane i droga mija niepostrzeżenie. Idziemy do Państwowego Domu Dziecka. Na łące przed budynkiem rozbite namioty. Obok nich kręci się kilku chłopców.

– Macie tu obóz?

– Nie, przygotowujemy sprzęt do jutrzejszego wyjazdu na obóz kajakowy. Przed wyjazdem jest sporo roboty. „Hrabianki" przybyły w samą porę. Cztery pomagają sprzątać pokoje, dwie sadzą kapustę w ogrodzie, pozostałe bawią się z przedszkolakami. Szkoda, że mieszkańcy domu wrócą dopiero za dwa tygodnie. Zdążą jeszcze tylko na pożegnalne ognisko do Wysokiej. Może w przyszłym roku rozbiją swoje namioty właśnie tam? „Hrabianki" zapraszają. Czas wracać. Na szczęście jest „Żuk". Ładujemy się jak śledzie i po kilkunastu minutach jesteśmy w obozie.

Po obiedzie zastępy pozaszywały się w namiotach. Przygotowują program na pierwsze, „rozpoznawcze" ognisko. Chcą się przedstawić jak najlepiej.

Może więc pora przedstawić samą Wysoką? Oficjalnie w jej karcie kwalifikacyjnej wyczytać można, że: obiekt mieści się na wsi, w okolicy nizinnej, suchej, na skraju lasu, w pobliżu rzeki Bóbr. Najbliższy przystanek PKS-Wysoka – 300 m, najbliższa stacja PKP – Bogaczów – 8 km. Wspomniany obiekt jest byłym budynkiem szkolnym, murowanym, z 1907 roku. Stan dobry, kanalizacja, woda z własnego hydrofora. Pomieszczenia: 3 sypialnie, jadalnia, pokój dla personelu, kuchnie, zmywalnia, magazyn, pralnia; boisko, plac zabaw. O 200 m odległa polana leśna, a na niej namioty na 100 osób.

A więc Wysoka to prawie kombinat wypoczynkowy, bo na obozie oprócz 75 harcerzy ze szczepu, w trzech namiotach mieszkają na tygodniowych turnusach nalowcy skierowani z Osiedlowego Domu Kultury „Nowita". A w budynku bazie – kolonia zuchowa szczepu. Stołówka żywi oczywiście wszystkich. Zuchy zapraszane są też na obozowe ogniska... i marzą o chwili, kiedy zamiast w budynku zamieszkają w namiotach rozbitych na pobliskiej polanie. Dzisiaj nie wiedzą, że już za kilka godzin czeka ich alarm i nocny marsz drogą koło cmentarza. Po takim treningu nie straszne będą dla nich obozowe noce.

– Pierwsza noc pod namiotem – wspomina Dorota. – To było 4 lata temu. Nie mogłyśmy usnąć z wrażenia. Gadałyśmy jak najęte przez pół nocy. Nagle ktoś uniósł burtę namiotu. Każdej serce podeszło do gardła i w pisk! A to zastępca komendanta.

– Nie chce się wam spać? Za 5 sek zbiórka przed namiotem!

A potem bieg dookoła obozu z przysiadami. I przenoszenie drewnianych pali. Co jakiś czas druh Mirek pytał, czy jesteśmy zmęczone. Przyznałyśmy się w końcu, ale starsze harcerki były bardziej ambitne i zaprzeczyły. W rezultacie niosły nas na plecach do namiotu.

Taka to była pierwsza noc świeżo wyrośniętej z zuchów „Wesołej Ósemki". Teraz skończyły już VIII klasę i są po raz czwarty na obozie w Wysokiej. Czy po raz ostatni? Chyba nie; całą młodzieżową kadrę instruktorską ich szczepu tworzą tradycyjnie byli uczniowie zielonogórskiej „Jedynki". Tylko komendantką szczepu jest nauczycielka, dh Wanda Lewandowska. Teraz w Wysokiej jest kierowniczką kolonii, a komendantem obozu jest jej mąż, dh Stanisław Lewandowski. To on pierwszy dowiedział się o pustym budynku tej szkoły. Bez przesady można powiedzieć, że dzięki nim szczep ma taką bazę. Potrafili nawiązać kontakty z wieloma instytucjami, które na różny sposób wzbogacają Wysoką, a to w cegły z rozbiórki (niezbędne do wybudowania ścian działowych), a to w płyty chodnikowe (patrz letnia jadalnia), a to w piętrowe łóżka, które inny z kolei zakład zmniejszył do wysokości bezpiecznej dla zuchów. Że nie wspomnę o skanalizowaniu budynku, modernizacji sieci elektrycznej. To, co trzeba wykonywali zaprzyjaźnieni fachowcy, wszystko pozostało – sami harcerze.

– Gdy przyjechałem tu pierwszy raz – mówi Robert – budynek nie wyglądał zachęcająco: dwie duże sale, zrujnowana kuchnia i zagracony strych. Nie było tarasu ani ogrodzenia. W sąsiedniej przybudówce ustawiliśmy kuchnię, jadalnia była w namiocie, a zuchy chodziły z nami myć się do Bobru (jeszcze była tam czysta woda).

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

▲ *Śniadanie w letniej stołówce smakuje zupełnie inaczej niż w budynku, lecz niektórzy żałują, że skończył się czas menażek*

Ta brama to także ich dzieło. Stąd do obozu jest jeszcze dość daleko ▶

Fot. **Jacek Łopuszyński**

TŠDT KUŹNICA WODNA W OLIWIE

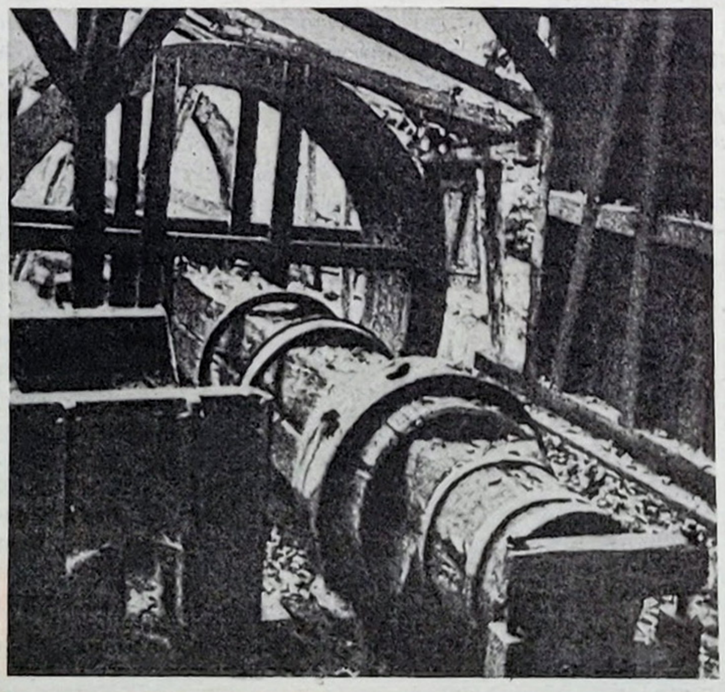

Pierwsze wzmianki o kuźni wodnej nad Potokiem Oliwskim pochodzą z 1597 r, kiedy kupił ją opat Cystersów w Oliwie Dawid Konarski. Kuźnię użytkowano do 1948 r, potem została pozostawiona własnemu losowi i niszczała – dopiero od 1957 r opiekę nad nią objęło Muzeum Techniki w Warszawie, doprowadzając do odbudowy wraz z rekonstrukcją niektórych elementów wyposażenia mechanicznego – otwarcie placówki muzealnej nastąpiło 17 czerwca 1978 r.

Budynek kuźni jest zbudowany z drewna; składa się z dwóch części, między którymi przepływa potok. W każdej części znajduje się młot napędzany odrębnym kołem wodnym, a także piec grzewczy. W prawej części znajdują się nożyce poruszane małym kołem wodnym.

Średnica dużych nasiębiernych kół wodnych wynosi 4 m. Są osadzone na wałach dębowych o przekroju kwadratowym (bok długości 70 cm) i długości 8 m. Młoty o ciężarze 250 kg spadają z wysokości 40 m.

Nożyce, przecinające rozgrzane żelazo do grubości 4 cm, są napędzane kołem wodnym o średnicy 3,1 m, osadzonym na wale dębowym o średnicy 50 cm i długości 4,7 m.

Kuźnia wodna nad Potokiem Oliwskim jest jednym z nielicznych obiektów tego typu w Polsce i nadal gromadzi dawne urządzenia i narzędzia kowalskie. **(KG)**

Fot. **archiwum**

A jakie zabytki techniki są w Twojej okolicy? Czekam na fotograficzne lub rysunkowe informacje o nich! W opisie nie zapomnij podać: wieku zabytku (choć w przybliżeniu), jego nazwy, stanu, w jakim się znajduje oraz jego ewentualnego użytkownika.

Szef Klubu
Tropicieli Śladów
Dawnej Techniki

GWIAZDOZBIÓR

Mistrz ról drugoplanowych

BOGUSZ BILEWSKI

Bogusz Bilewski w filmie pt „Lęki poranne"

Bogusz Bilewski należy do grona aktorów umiejących nawet rolom epizodycznym nadać bogactwo wyrazu. Dziesiątki wcieleń na małym i dużym ekranie oraz na scenach teatralnych zapewniły mu uznanie krytyki i sympatię widzów.

– Obchodzić pan będzie wkrótce 25-lecie działalności artystycznej, jak się to wszystko zaczęło, jakie drogi zawiodły pana do teatru?

– Drogi te były dość zawiłe. Muszę zacząć od mego życiorysu, który jest dość urozmaicony. Urodziłem się w Starachowicach. Do pierwszej i drugiej klasy uczęszczałem w Krakowie, do trzeciej – w Nadbrzeżu koło Sandomierza, czwartą przerobiłem w domu, do piątej chodziłem w Sandomierzu, szóstą i siódmą przeszedłem w Krakowie. Pierwszą klasę gimnazjalną ukończyłem w Bytomiu, drugą w Zabrzu, trzecią i czwartą w Ostrzeszowie Wielkopolskim. Potem pojechaliśmy do Wrocławia, gdzie zdawałem maturę.

Ciągłe zmiany wypływały stąd, że w czasie okupacji mój ojciec musiał się ukrywać, a po wyzwoleniu, jako inżynier, uruchamiał: w Nowym Bytomiu – Hutę Pokój, w Zabrzu – Hutę Zabrze, a we Wrocławiu – port rzeczny. Ojciec pragnął, abym kształcił się w tym samym, co i on kierunku. Po matce, która była śpiewaczką, odziedziczyłem zamiłowania artystyczne.

Zanim sprecyzowały się moje plany życiowe, zapisałem się do Powszechnej Organizacji „Służba Polsce". W Stepnicy koło Szczecina oczyszczaliśmy kanały melioracyjne. Dzięki swemu pomysłowi racjonalizatorskiemu wyrabiałem 860 procent normy. Gdy na zakończenie zapytano mnie, co chciałbym otrzymać za swą pracę, poprosiłem o skierowanie do szkoły teatralnej. Otrzymałem je. Przyjęto mnie prawie bez egzaminów i tak zostałem studentem krakowskiej PWST. Studiowałem wraz z Kaliną Jędrusik, Cybulskim, Kobielą, Herdegenem.

– Gdzie pan debiutował?

– Po ukończeniu studiów, wraz z grupą kolegów, udałem się do Teatru Wybrzeże w Gdańsku, którym kierowała wówczas Lidia Zamkow. Pewnego dnia znajdowałem się na widowni, gdy wezwano mnie nagle za kulisy, proponując zastępstwo kolegi, który dostał ataku wątroby. Ledwie zapoznawszy się z tekstem, wybrnąłem jednak szczęśliwie z trudnej sytuacji. Prawdziwym jednak moim debiutem scenicznym była rola Mattiego w sztuce Bertolta Brechta „Pan Puntila i jego sługa Matti". Kolejno grałem w Teatrze Domu Wojska Polskiego, przemianowanym później na Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, w Teatrze Powszechnym, Ateneum, a obecnie od dwóch lat w Teatrze Polskim.

– Jakie role najbardziej panu odpowiadają?

– Uważam, że aktor nie powinien wybierać ról, ale grać wszystko. Gdyby jednak dano mi do wyboru rolę zabijaki, czy człowieka spokojnego – wybrałbym tę drugą...

– Jaki etap pracy uważa pan za najważniejszy?

– Najbardziej interesuje mnie okres prób poprzedzających premierę. Zawsze pragnę utożsamiać się z postacią, którą mam odtwarzać. Ciągle o niej myślę. Po premierze ten wysiłek ustaje, choć praca nad rolą, którą aktor stara się pogłębić, trwa nadal.

– Odtwarzane przez pana postacie są zawsze wielowymiarowe, barwne, na długo pozostają w pamięci.

– Grywam na ogół role drugoplanowe, co wymaga często większego wysiłku, aby zwrócić uwagę widza. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że spektakl jest dziełem zespołowym, a nie popisem solowym.

– Obok działalności teatralnej i telewizyjnej grał pan w wielu filmach?

– Zacząłem w „Godzinach nadziei". Mój dorobek w tej dziedzinie to nie tylko dziesiątki ról, ale również ponad dziesięć złamań rąk i nóg, gdyż przeważnie grałem bez pomocy kaskaderów.

Rozmawiała:
JANINA KAPUŚCIŃSKA (PAP)
Fot. **Romuald Pieńkowski**

Romantyzm w bieli

DOM MODY światła młodych

Różne dziewczyny różne mają gusty. Jedne lubią ubierać się na sportowo – spodnie, szorty, trykotowe koszulki czy stebnowane mocno sukienki ze sztywnego teksasu, a inne – wolą mieć na sobie strój bardziej... dziewczyński w charakterze, coś romantycznego w nastroju. Fajnie się składa, że aktualnie nam panująca moda równorzędnie traktuje obydwa te style (i wszystko, co pomiędzy nimi się mieści, oczywiście też!) więc bez obawy, że jakieś złośliwe koleżanki posądzą człowieka, iż na rzeczy się nie zna, jeśli ktoś lubi ciuchy romantyczne, można się tak właśnie przyodziać.

Oczywiście, o ile na to pozwoli pogoda. Bo podczas gdy ciuchy sportowe są absolutnie uniwersalne (i na upał, i na deszcz), to ciuszki romantyczne bardziej i powiewne – ładnie wyglądają jedynie w złocistej oprawie słonecznej. No, ale przecież mamy ponoć lato!!!

Styl romantyczny nie jest związany z jakimś określonym kolorem, raczej od fasonu cichua rzecz zależy, ale mimo wszystko najbardziej uwidacznia się on w rzeczach białych. Powiedziałabym, że to jest taka klasyka stylu romantycznego. Na zdjęciu jedna z takich właśnie propozycji, w gruncie rzeczy ogromnie prościutka i banalna. Bluzeczka jest kimonowa, zapinana z przodu na guziczki, można ją nosić wpuszczoną do spódniczki albo (tak jak na zdjęciu) związując ponad talią dwie jej przednie poły w supełkokardę. Spódniczka jest lekko przymarszczona, ale nie do paska, tylko do takiego 10-centymetrowego karczka. W miejscu wmarszczenia – maleńka falbanka z tzw. angielskiego haftu (gotowa pasmanteryjna mereżka), takim samym haftem wykończony jest dół spódniczki oraz bluzka pod szyją. I głównie w tym właśnie „angielskim hafcie" rzecz cała. Oraz w materiale – delikatnej białej etaminie. Zamiast haftu angielskiego może być po prostu koronka, taka, jaką dziewczyna na zdjęciu przewiązała sobie włosy.

Takich kombinacji (koronka plus biała etamina, albo biała żorżeta, jedwabna lub bawełniana, albo batyst, albo inny miękki i delikatny materiał) może być bez liku. Kilka przedstawiam na rysunku obok, całą resztę możecie sobie bez trudu zaprojektować same. Pięknie takie rzeczy będą wyglądały przy mocnej opaleniźnie, szalenie pasują do nich słomkowe kapelusze ozdobione sztucznymi kwiatami (jak na zdjęciu), obowiązkowe są jakieś białe pantofelki czy sandałki.

Oczywiście samo przez się się rozumie, że taki cały w bieli romantyczny ciuch, to nie jest rzecz na obóz czy na wycieczkę. Ale przecież i w czasie wakacji zdarzają się Wam sytuacje superelegancji wymagające, kiedy człowiek gwałtownie się zastanawia, co by tu można było na siebie odpowiedniego wdziać. Więc może właśnie coś takiego, co?

RIUSZKA

ZAROBIĆ PIENIĄDZE NA WŁASNE WAKACJE

Wakacje za własne pieniądze. Taką właśnie możliwość spędzenia jednego z letnich miesięcy proponują uczącej się młodzieży – która ukończyła 16 lat – Ochotnicze Hufce Pracy.

Tegoroczna Akcja Letnia OHP w różnych swych formach objęła zasięgiem 285 tys. młodzieży. Zapoczątkowana w 1974 r. akcja indywidualnego zatrudniania uczniów szkół ponadpodstawowych w okresie letnim szybko zyskała sobie dużą popularność. Podobnie jak w minionym roku, skorzystało, bądź skorzysta z tej formy zdobycia funduszy na wakacje blisko 90 tys. dziewcząt i chłopców. Tradycyjnie już najwięcej młodzieży będzie pracowało w Katowicach, Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu i Szczecinie.

Stały wzrost zainteresowania tą formą spędzenia wakacji, a także pochlebne opinie pracodawców o młodych pracownikach są dowodem, że akcja jest ze wszech miar potrzebna. Wszystkim jest wiadome, że każde młode, chętne do pracy ręce, zwłaszcza w okresie wakacji – porze urlopów w zakładach pracy i spiętrzonych prac polowych – są szczególnie cenne.

Junaków nie zabraknie wszędzie tam, gdzie ich pomoc jest szczególnie potrzebna. Przede wszystkim w rolnictwie. Od lat pomagają oni w czasie żniw starszym rolnikom, inwalidom wojennym, kombatantom. Pracują w placówkach służby zdrowia, w urzędach pocztowo-telekomunikacyjnych, w sklepach, magazynach, portach, na stacjach kolejowych i lotniskach. Członkowwie hufców specjalistycznych pracują w budownictwie. Junacy zadrzewiają lasy i parki, konserwują urządzenia komunalne w miastach. Niemniej interesującą formą spędzenia części wakacji jest uczestnictwo młodzieży w 45 dużych Zgrupowaniach Hufców Wakacyjnych OHP.

Na podstawie zawartego ostatnio porozumienia między Ministerstwem Kultury i Sztuki a Komendą Główną OHP młodzież podjęła prace konserwatorskie pod fachowym nadzorem na terenie Zamościa, Sandomierza, Płocka i Kalisza. Zgrupowanie „Młodzież historii – Zamość 80" ma za zadanie pracę przy rewaloryzacji naszej perły Renesansu i pomoc w organizacji tegorocznych dożynek.

„Beskidy 80" – to zgrupowanie 1800 junaków pracujących na rzecz gospodarki komunalnej. Zgrupowanie pod kryptonimem „X wieków Sandomierza" pracuje m. in. przy ochronie skarpy nadwiślańskiej w tym mieście. Największe leśne zgrupowanie zorganizowano w województwie koszalińskim. Natomiast w Toruniu młodzież z OHP buduje linię tramwajową z centrum miasta do nowego osiedla.

Tak więc jest gdzie pracować i istnieje możliwość swobodnego wyboru rodzaju pracy. Młodzież szkół ponadpodstawowych uczestniczyć może w trzech podstawowych formach wakacyjnych Ochotniczych Hufców Pracy. Pierwszą z nich są hufce wyjazdowe skupiające młodzież, która pragnie oprócz pracy poznać inne, ciekawe regiony kraju. Hufce miejscowe dają możliwość pracy i zorganizowanego wypoczynku w miejscu zamieszkania. I wreszcie zatrudnienie indywidualne prowadzone przez 260 Junackich Biur Pracy.

Warunkiem podjęcia pracy jest ukończenie 16 lat życia, dobry stan zdrowia potwierdzony przez lekarza oraz w przypadku młodzieży nieletniej, a więc między 16 a 18 rokiem życia – pozwolenie rodziców. Szczegółowych informacji udzielają Wojewódzkie Komendy OHP znajdujące się w każdym mieście wojewódzkim.

Kto nie boi się pracy, ten z łatwością za pośrednictwem OHP zarobi na wakacje i nie tylko.

KRZYSZTOF ŻAK

Ukryty urok Wysokiej

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Teraz jest umywalnia na podwórzu i druga w budynku z 12 umywalkami, 3 przytulne, wyposażone w nowy sprzęt sypialnie. W oknach firanki, na podłogach wykładzina Przed budynkiem stoją na ogrodzonym wyłożonym płytkami terenie ławki szkolne z WSP – przydały się jako stoły do jadalni „pod chmurką".

– Te płytki, a jest ich dokładnie 480 – mówi Robert – kładliśmy sami. Zbudowaliśmy też bramę wjazdową.

– W ciągu roku szkolnego – dodaje Dorota – nieraz druhna Lewandowska przychodzi do nas i pyta: Kto chce jechać do Wysokiej, to i to jest do zrobienia. Chętni zawsze się znajdą. Gdy organizujemy tu dwudniowe biwaki zastępów, często jeden dzień pracujemy.

– Pamiętasz biwak dwa lata temu? – dorzuca Ewa. – Malowaliśmy wtedy sufity i ściany, myłyśmy podłogi i okna. Początkowo nie wiedzieliśmy, że to będzie nasza baza, potem zaczęliśmy korzystać z niej coraz częściej. Stąd do Zielonej Góry jest około 40 km. Wystarczy wsiąść w autobus, by się tu znaleźć w leśnej ciszy. Wysoka to idealne miejsce na nasze obozy, biwaki i zimowiska. To nasz dom. Teraz planujemy przede wszystkim urządzić na strychu harcówkę.

Zagadałam się z obozowymi weteranami, a tu już pora na ognisko. Prowadzi je zastępca komendanta, Wojtek Krawczyk (nawiasem mówiąc, autor słów piosenki o Wysokiej).

Zaczynają nalowcy, świetną inscenizacją swojego zwiadu. Widownia nagrodziła ich okrzykiem B! R! A! W! O! Brawo! Brawo! Brawissimo! Nie wszyscy z kolejnych występujących zasłużyli na ten okrzyk. Dwa razy rozlegało się: Ale li...! Ale li...! Ale lipą zapachniało!

Ani się obejrzeliśmy, a na niebie zapanował „Łysy".

– Już do odwrotu głos trąbki wzywa – zaczyna druh Wojtek. Wiara podchwytuje dalszy ciąg. A ja chyba zaczynam rozumieć na czym polega ukryty urok Wysokiej.

ANNA PACIOREK

Dziś nasz kącik jest bardziej techniczny niż zwykle. Przedstawiam bowiem dwie ciekawe wypowiedzi dotyczące napędu. Szczególnie interesująca jest korespondencja Marka Wojaczka, dotycząca napędu pulsacyjnego. O wspomnianym przez niego brytyjskim projekcie DEDAL wkrótce przeczytacie na tym miejscu.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

UWAGA, MIŁOŚNICY FANTASTYKI!

Pragnąłbym za pośrednictwem TOMIK-a poinformować wszystkich miłośników fantastyki i science fiction o możliwości otrzymywania książek SF, nawiązania ciekawych kontaktów z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Sądzę, że na miejscu będzie tu zamieszczenie reklamówki, która jest nieodłączną częścią każdej książki: „Jeżeli interesujesz się, drogi Czytelniku, problematyką związaną z szeroko pojmowaną fantastyką w literaturze; jeżeli pasjonujesz się nie rozwiązanymi i dyskusyjnymi zagadkami nauki, sięgnij po książki wydawane przez Krajową Agencję Wydawniczą przy współpracy Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction" „OKMFiSF"

Osobiście posiadam już siedem książek z tej serii. Oto tytuły:

1. Andrzej Krzepkowski, Andrzej Wójcik „OBSZAR NIECIĄGŁOŚCI"
2. Zbigniew Dolecki „MUSZLA EGEJSKA"
3. Adam Hollanek „UKOCHANY Z KSIĘŻYCA"
4. Zbigniew Prostak „KONTAKT"
5. Ryszard Głowacki „PARKSYZM NUMER MINUS JEDEN"
6. Stefan Weinfeld „WŁADCY CZASU"
7. Krzysztof Boruń „ÓSMY KRĄG PIEKIEŁ"

Książki te – a także inne pozycje i materiały dotyczące działalności sympatyków SF na całym świecie – mogą otrzymywać członkowie OKMFiSF. Chcąc zaś zostać członkiem klubu, wystarczy listownie zgłosić swoją kandydaturę pod adresem: Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science Fiction 04-397 Warszawa, ul. Kickiego 12.

Za pośrednictwem Klubu zamierzam jeszcze nabyć następujące pozycje:

8. Mieczysław Kurpisz „BEZ PRZERWY WYPEŁNIAĆ TĘ CISZĘ"
9. Janusz Kruk „PRZYBYŁ Z KOSMOSU, ABY UMRZEĆ NA ZIEMI" – niewyjaśnione zagadki Mezoameryki.

Zachęcam gorąco wszystkich miłośników fantastyki i SF do wstąpienia w szeregi OKMFiSF.

Wiesław Pająk
ul. Kilińskiego 27/7
08-110 Siedlce

O przyszłych systemach napędu pojazdów kosmicznych

NAPĘD PULSACYJNY

W chwili obecnej poziom astronautyki ustabilizował się na pewnym poziomie i od kilku lat nic praktycznie się nie zmieniło. Mówiąc to, mam na myśli przede wszystkim systemy napędowe statków kosmicznych. Napęd chemiczny został opanowany przez człowieka w stopniu nie rokującym przyszłości. Co prawda rosnąca moc silników, większe wymiary przenoszonych pojazdów i urządzeń, niezawodność, to wielkie osiągnięcia techniki, ale są one niewystarczające, kiedy bierzemy pod uwagę loty do innych układów planetarnych, a nawet załogową eksplorację Układu Słonecznego. Technika dnia dzisiejszego jest wprawdzie w stanie wysłać człowieka np. na Marsa (co ma zamiar zrobić ZSRR), ale czas lotu takiego pojazdu oraz ogrom trudności nie zachęcają do podjęcia takiego trudu. Jeżeli bowiem lot automatycznej sondy może trwać kilka czy kilkanaście lat, to trudno to sobie wyobrazić w przypadku statku załogowego. Poza tym i sondy nie mogą dotrzeć wszędzie (Pluton, Neptun) a ilość badań przez nie wykonywanych jest bardzo ograniczona. Dlatego koniecznością stało się znalezienie napędu, który skróciłby czas lotu i umożliwił loty załogowe. Prace nad takim napędem zostały podjęte przez wiele instytutów na świecie i to już w latach sześćdziesiątych.

Największe nadzieje budziły i ciągle budzą dwa typy napędów: napęd jądrowy oraz jonowy. Pierwsze silniki jądrowe są już od dawna testowane (KIWI, NERWA), a doświadczalne silniki jonowe przepracowały już miliony godzin. Jest bardzo prawdopodobne, że silniki jądrowe, mimo swych niedostatków, wejdą w użycie. Chciałbym jednak przedstawić inny typ napędu, który jest, moim zdaniem, pod wieloma względami lepszy od pozostałych. Jest nim napęd pulsacyjny. Twórcą idei takiego napędu był Polak, prof. Stanisław Ulam. Jego idee zostały rozwinięte później w czasie prac projektowych konkretnej misji kosmicznej, o czym potem. Sama idea jest prosta. Ładunek napędowy (np. jądrowy) eksploduje za statkiem kosmicznym. Powstająca w czasie wybuchu fala uderzeniowa w części zostaje odebrana przez specjalną czaszę oddzieloną od zasadniczej części pojazdu częścią amortyzującą. Dzięki temu pojazd się porusza. Nazwa „pulsacyjny" powstała od tego, że ładunki byłyby wystrzeliwywane w pewnych odstępach czasu, a więc siła napędzająca byłaby dostarczana impulsami, a mimo to pojazd poruszałby się ruchem jednostajnym lub jednostajnie przyśpieszonym (podobnie jak to jest możliwe w samochodzie dzięki kołu zamachowemu). Najbardziej odpowiednim paliwem wydaje się być mieszanka, w której zachodzą reakcje termojądrowe – złożona z deuteru i helu 3, stymulowana laserami. Brytyjskie Towarzystwo Międzyplanetarne podjęło w 1972 r. prace studyjne nad projektem sondy międzygwiezdnej o napędzie pulsacyjnym-DEDAL. W wyniku prac zaprojektowano sondę o masie 150000 t, prędkości max. 16,7 proc. prędkości świateł. Tarcza miała być wykonana z molibdenu. Zainteresowanych tym projektem odsyłam do „Astronautyki" 6/77.

Teoria znalazła swe potwierdzenie w praktyce. W USA prowadzi się obecnie doświadczenie na modelach, w których materiały jądrowe zostały zastąpione trotylem. W chwili obecnej są one tak zaawansowane, że można by zacząć doświadczenia w przestrzeni kosmicznej z zastosowaniem deuteru i helu 3 (z doświadczeniami tymi wiąże się pewien wypadek: mianowicie przypadkowo dotknięta przez jednego z laborantów tarcza w miejscu dotknięcia była mniej zniszczona po zakończeniu doświadczeń). Prowadzenie takich doświadczeń jest jednak sprzeczne z prawem międzynarodowym. Prawo to jest ze wszech miar słuszne i wydaje mi się, że warto by się najpierw zastanowić nad przyczynami wprowadzenia tych ograniczeń. Jest to bowiem problem o wiele ważniejszy dla ludzkości.

Lot do Plutona z zastosowaniem tego napędu trwałby nie więcej niż tydzień (!). Zupełnie realne stałyby się loty do bliskich gwiazd. Zastosowanie napędu byłoby ogromne. Zanim jednak będzie można z niego korzystać trzeba rozwiązać kilka o wiele ważniejszych spraw ziemskich.

Marek Wojaczek
ul. Chwałowicka 94
44-216 Rybnik 6

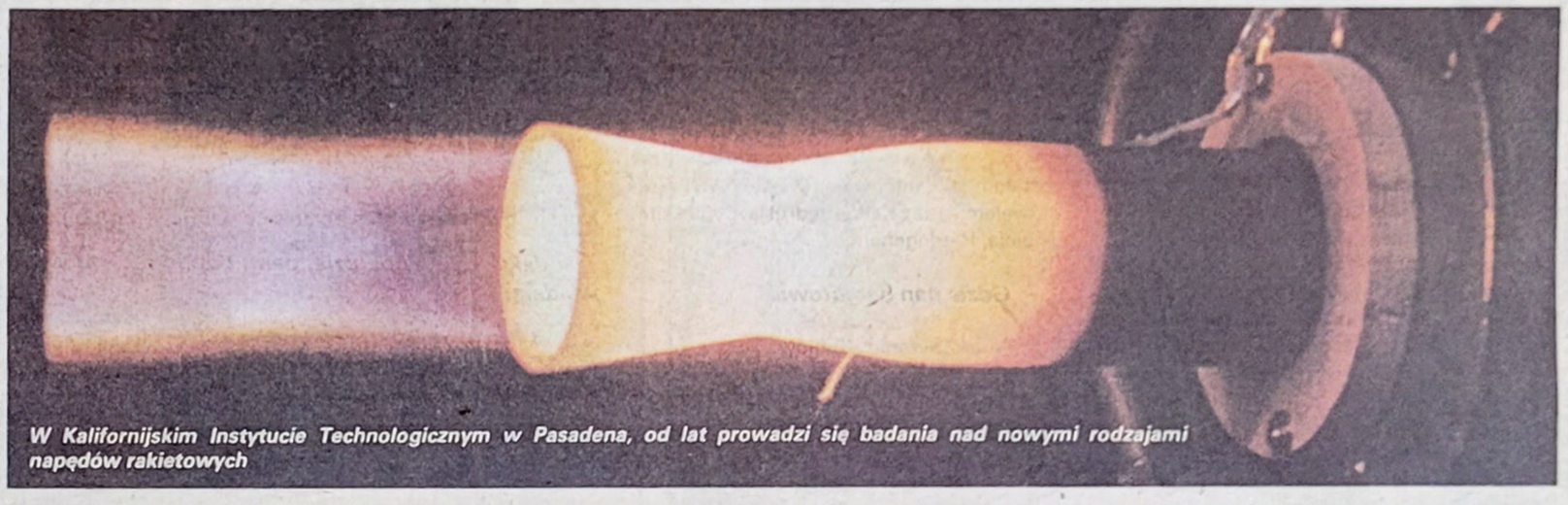

W Kalifornijskim Instytucie Technologicznym w Pasadena, od lat prowadzi się badania nad nowymi rodzajami napędów rakietowych

Silniki jonowe

W nawiązaniu do artykułu kol. Dariusza Sobieralskiego pt, „Podróż do centrum Galaktyki" ze „ŚM" nr 30 hciałbym przedstawić jeszcze jeden typ silnika rakietowego, mianowicie tzw. silnik jonowy (o napędzie jonowym). Do stworzenia silnika jonowego prawdopodobnie nie doszłoby nigdy, gdyby nie fakt, że technicy rakietowi zaczęli się zastanawiać jak zmniejszyć masę satelity przeznaczonego do długotrwałego pobytu na orbicie okołoziemskiej. Problem polegał na tym, że zamiast zmniejszać masę sztucznego satelity, zwiększano ją poprzez załadowywanie ogromnej ilości paliwa. Dlatego, że satelita lub próbnik kosmiczny czasami zejdzie z „trasy", jaką przewidziano, trzeba było wtedy przeprowadzić korektę orbity z pomocą silników korekcyjnych, a że w grę wchodzi długotrwałość pobytu na orbicie okołoziemskiej, więc trzeba było ładować większe ilości paliwa. Postanowiono zmniejszyć masę sondy kosmicznej przez zabranie mniejszych ilości materiału pędnego. A później zaczęto pracować nad ekonomicznymi silnikami do napędu rakiet i innych obiektów do badania przestrzeni kosmicznej.

W wyniku tych prac powstał projekt silnika jonowego. Silnik jonowy napędzany jest jonami (atomami o ładunku elektrycznym ujemnym lub dodatnim) wytwarzanymi np. w reaktorze jądrowym, a potem przyspieszanymi w akceleratorze cząstek naładowanych i wyrzucanymi z wielkimi prędkościami przez dyszę. Co prawda silniki takie są w fazie doświadczeń i można za ich pomocą uzyskiwać impuls właściwy, wynoszący 3000 s (silniki pracujące na znanych paliwach chemicznych mają tenże impuls 300 s). Być może dalsze prace nad ekonomicznymi silnikami jonowymi umożliwią ich pełne zastosowanie w obiektach geostacjonarnych albo też pojawią się systemy hybrydowe łączące silniki na stały lub ciekły materiał pędny i jonowy. Jedna z proponowanych konstrukcji tego rodzaju, również pozostająca w pracowniach badaczy, ma masę 37 kg i wymaga zaledwie 1,3 kg rtęci w ciągu roku (!) do napędu systemu silnikowego zapewniającego satelicie utrzymanie pozycji na orbicie. Na razie nie wiadomo czy powstaną jeszcze inne rodzaje silników rakietowych.

Jarosław Patrzałek
ul. Pomorska 71/73 m 61
25-343 Kielce

my spokojnie przeprawiać się na drugą, prawą stronę rzeki na czółnach ze skóry bizonowej, zaś zwierzęta nasze przepędzać wpław.

Nieco później Wódz Józef powierzył nadzór nad przeprawą Tuhulhulzotowi, a on sam i wodzowie siedli na konie i pojechali prawie milę w stronę, skąd przybyliśmy po ostatniej nocy. Kilku młodych, także i ja wśród nich, jechało w tym orszaku.

Znowu miałem sposobność, by podziwiać wojennym zmysł Wodza Józefa. Rzeka toczyła się w diabelnie skalistym łożysku; w jednym tylko ustroniu nad wodą rosły drzewa i była gęstwina, a poza tym gołe skały. Nad rzeką wznosiły się urwiska, a wszędzie dokoła nas, na stokach górskich, leżały kamienie.

– Tu! – przerwał milczenie Wódz Józef. – Tu przyjadą...

– Tu? – odezwał się niedowierzająco Czarny Jastrząb. – Akurat tu?

– Tu! – potwierdził Wódz Józef. Gdy wyjadą spoza tego cypla, ujrzą niezawodnie nasz obóz, przeprawiający się przez rzekę. Chyba nie wytrzymają. Będą chcieli uderzyć na tych jeszcze po tej stronie – wtedy my się odezwiemy...

Przyglądaliśmy się otoczeniu, szukając miejsca, gdzie by najlepiej było między głazami urządzić zasadzkę. Wtedy Swawolny Wiatr oględnie wyraził niepewność, czy aby Długie Noże będą nas ścigali, i czy właśnie w tym miejscu. Byłem dumny z mego brata, że tak rozumnie poruszył sprawę.

Odrzekł mu wódz Zwierciadło:

– Nie ma dwóch zdań, że Howard będzie nas tu gonił. Więcej, jestem przekonany, że już wysłał pościg za nami...

– To lada chwila mogą tu być! – zawołał Skory Łabędź, ale on także miał wątpliwości: czy zjawią się właśnie w tym miejscu.

– Tutaj – wyjaśnił Wódz Józef – jest, jak widzicie, łagodna grań, gdzie najdogodniej będzie jechać Amerykanom konno wzdłuż rzeki. Więc tu ich przyjmiemy, ukryci za głazami...

Po naszym powrocie do obozu Biały Ptak czym prędzej zwołał swych wojowników i pojechał do skał, gdzie się mieli zaczaić. Ja i Swawolny Wiatr byliśmy z nimi. Długo nie czekaliśmy. Około południa nasze czujki usłyszały stłumiony stukot kopyt, uderzających o skalisty grunt. Wnet wyłoniły się spoza cypla sylwetki Długich Noży. Dwa szwadrony.

Zaledwie ich dowódca jadący na czele, ujrzał dolinę przed sobą, wydał jak gdyby okrzyk triumfu. Tylko połowa naszego obozu zdążyła dotychczas przebyć rzekę, a reszta była jeszcze po naszej stronie. W mniemaniu napastników była to gratka i pewne zwycięstwo.

Widzieliśmy, jak dowódca, pełen złej radości, wzniósł szablę i dał rozkaz do ataku. Szwadrony zerwały się w długi galop i musiały nas minąć o niespełna dwieście kroków. Nasza salwa zwaliła z konia pierwszego jeźdźca, który niestety nie był dowódcą. Ponieważ przede wszystkim ich konie wzięliśmy na muszkę (bo tak nam kazał Wódz Józef) powstało straszne zamieszanie. Ci, którzy stracili wierzchowce, chronili się na gwałt między skały i stamtąd do nas pukali, ale był to ogień nieskuteczny.

Naprzeciwko mnie jeden z żołnierzy ukrył się w popłochu za zbyt małym kamieniem i lewy bark oraz ramię mu wystawały. Strzelał w moim kierunku raz, i drugi, i trzeci, jakby się uwiął, więc i ja się na niego uwziąłem. Nie szczędziłem nabojów i w pewnej chwili wydało mi się, że go trafiłem.

Dość szybko żołnierze przyszli do przekonania, że się nie przebiją do naszego obozu, i jak niepyszni wycofali się, pozostając jednak w pobliżu.

A my spokojnie przechodziliśmy nadal przez bród rzeki i na drugim brzegu stanęliśmy wyzywająco obozem nad saną wodą, na widoku wszystkich, którzy chcieliby nas śledzić. Chroniła nas od wroga przezorna linia naszych strzelców gotowych do walki.

Wódz Józef, widząc zawziętość Amerykanów, którzy chcieli nas doszczętnie zniszczyć, powziął decyzję, z którą nosił się już od kilku dni. Jeszcze znajdowaliśmy się w dorzeczu Clearwater, gdy podczas postoju zwołał na naradę wszystkich swych wodzów oraz co starszych wojowników i oświadczył im:

– Długie Noże chcą nas bezwzględnie zdławić, za wszelką cenę. Wielu ich już jest dokoła nas, a z każdym tygodniem będzie ich więcej. Widzę z tych tarapatów tylko jedno wyjście.

Wszyscy obecni wlepili w twarz wodza pytające spojrzenie.

– Jakie to wyjście? – przerwał milczenie wódz Zwierciadło.

– Ucieczka do Kanady!

Większość wojowników przyjęła to z uznaniem, ale nie wszyscy. Biały Ptak, porywczy, a zuchwałego serca, aż się żachnął:

Cdn

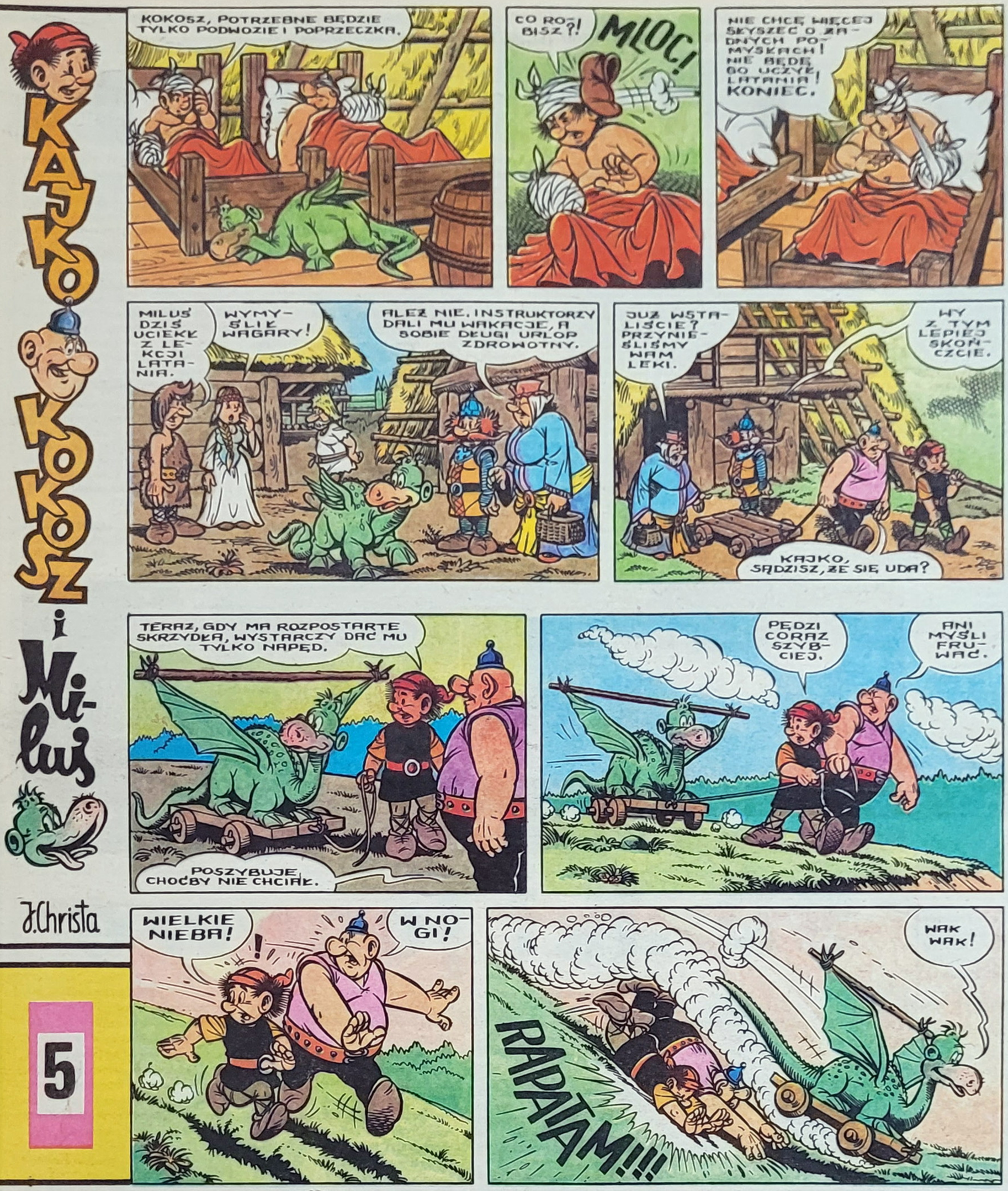

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Raziejczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA: RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. nr 4451/G 0-37

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- „Rzecz Czarnoleska" – a w niej wiersze o Janie Kochanowskim. Przydadzą się Wam po wakacjach w szkole. Warto je więc zachować.
- Cała druga strona gazety poświęcona XXII Igrzyskom Olimpijskim. Znajdziecie też fotoreportaż, którego bohaterkami są – Grażyna Rabsztyn oraz Zofia Bielczyk i Lucyna Langer.
- Dla uczestników KLAN swoje propozycje przedstawiają: Szef Klubu Wagabundów oraz Szperaczy.

Z naszych zginęło dwóch wojowników, lżej rannych było więcej. Z każdej strony padło kilka koni, z pobojowiska zgarnęliśmy kilkanaście amerykańskich karabinów, dziesięć Coltów i moc amunicji, tudzież jedną lornetkę – zdobycz wielce radującą wodza Zwierciadło.

Tymczasem walka wcale się nie zakończyła. Howard miał przecież artylerię, haubice i szybkostrzelne działa Gatlinga, więc kazał z nich walić z daleka w skalne zakamarki, gdzie domyślał się naszych kryjówek. Ale Wódz Józef nie próżnował. Białego Ptaka z jego wojownikami wysłał na południową część płaskowzgórza, by na górnej krawędzi ciągnącego się tam kanionu rozmieścił swych strzelców, Olikuta zaś z jego ludźmi pchnął na północny brzeg płaskowzgórza. Zamierzał wziąć Howarda w dwa ognie.

Generał wiedział, gdzie stał nasz obóz, w którym były kobiety, dzieci i trzody i tam się skierował. Chciał przebrnąć przez rzekę Clearwater i dopaść naszych namiotów. Ale gdy był już niedaleko rzeki, dostał się pod obstrzał naszych strzelców wyborowych. Strzelali z wielkiej odległości, a mimo to często trafiali. Zmusiło to Howarda do zmiany frontu. Próbował natarciem od północy, ale i tu ogień wojowników Olikuta przeciwstawił się jego zapędom. A tymczasem od zachodu, od strony rzeki, sam Wódz Józef i jego ludzie dali mu się we znaki. Celny ogień karabinowy zmusił Howarda do cofnięcia się.

Ale przewaga Amerykanów wciąż była liczebnie ogromna. Rozporządzali do tego artylerią i nie mieli kobiet z dziećmi do pilnowania. Generał Howard był wychowankiem słynnej West Point, a jego oficerowie zawodowymi weteranami wojennej sztuki. Mimo to nie oni, lecz Wódz Józef trzymał ich nieustannie na smyczy, on im narzucał swój plan działania. On im odebrał na

ARKADY FIEDLER ● MAREK FIEDLER

INDIAŃSKI NAPOLEON GÓR SKALISTYCH

17

przeciąg półtora dnia jedyne w pobliżu źródło wody, a do rzeki Clearwater strzelcy indiańscy nikogo z wrogów nie dopuszczali. Gorące to były dni także w przyrodzie, lipcowe słońce lało z nieba żywym ogniem, a wielu rannych żołnierzy niemal ginęło z pragnienia i cierpień.

W trzecią noc, zgodnie z taktyką Wodza Józefa, wszyscy wojujący Nez Percé wraz z obozem ulotnili się znad Clearwater, jak gdyby zniknęli z powierzchni ziemi.

W całych Stanach Zjednoczonych opozycyjna prasa znowu zachłystywała się szyderstwami pod adresem generałów i żołnierzy, a Wodzowi Józefowi te gazety zaczęły przypisywać cechy jakiegoś Napoleona w Górach Skalistych.

Prasa prorządowa i promilitarna z kolei zasypywała rozgorzałych Amerykanów wiadomościami mrożącymi krew w żyłach. Pisała o okrucieństwie dzikich Indian Nez Percé – Przeklutych Nosów, bestialsko mordujących wszystkich napotkanych Jankesów, szczególnie zaś bezbronne kobiety i niewinne dzieci.

A Howard? Generał, by ratować twarz, złożył osobliwy raport swym zwierzchnikom w stolicy. Nez Percé wprawdzie umknęli znad Clearwater, ale wojska nad ową rzeką zadały Indianom tak ciężkie straty, iż bliska jest już chwila całkowitego zdławienia buntowników.

Któryś z oficerów Howarda, zapoznawszy się z jego raportem, miał ponoć zadrwić:

– Wishful thinking! – Pobożne życzenie generała!

16. SZPIEG CZY NIE SZPIEG?

Owej nocy, kiedy zaraz po nastaniu ciemności chyłkiem umknęliśmy Howardowi, nie powędrowaliśmy daleko. Dwie godziny konnej jazdy na północ zawiodły nas do miejsca, gdzie znajdował się bród przez Clearwater, i tu resztę lipcowej, ciepłej nocy przespaliśmy. Gdy zrobił się dzień, poczęliś-

Dokończenie na str. 7